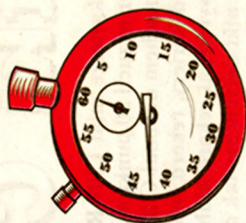


Codzienna gazeta sportowa

SuperTempo



**Alicja
druga
w Sydney!**

Czytaj na str. 4.

NR 11 (166)

WTOREK, 18 STYCZNIA 2000

CENA 1,20 ZŁ

ISSN 1508-3845

www.supernowa.euroserwer.com

Nr indeksu 349615

Nie chcę udawać. Nie wszystkie treści pomieszczone na łamach najnowszego tomu „encyklopedii piłkarskiej FUJI” przyswoilem z satysfakcją. Zwłaszcza zawartość str. 36., na której zadano bezlitosny cios jednemu z wielu ludwinowskich mitów. Że właśnie Ludwinów zawsze, ale to zawsze, wyłącznie skupiał „swoich”. Klubowy hymn Garbarni, traktujący o tym, że „nasze barwy są brązowo-białe”, rozlega się (skądinąd bardzo dobrze, iż rozlega się) przy wielu okazjach.

Kłaniając się ukochanej lidze

Tymczasem, pamiętając o jednym w historii Garbarni wywalczeniu w 1931 roku mistrzostwa Polski, należałoby dokonać brutalnej wiwsekcji tego co stare, zatem niby krytycznie czyste i niebiańsko piękne. By w zamian pokłonić się faktom. Iż – wbrew powszechnej opinii – akurat Garbarnia była pierwszym krajowym championem, który składał się wyłącznie z sił najejnych. Ze wśród Smoczków, Pazurków, Gregorczyków, Jokschów, Konkiewiczów, Wilczkiewiczów i Maurerów nie uświadczysz ani jednego wychowanka Ludwinowa. Co niewątpliwie, zwłaszcza z podgórskiej perspektywy, nie brzmi dumnie. Za to prawdziwie.

Garbarnia, tak bardzo mi bliska, zapisała złotymi zgłoskami ledwie jeden rozdział twórczej przez pokolenia. Sagi o wzlotach i upadkach. O pomysłach trafiających w sam środek tarczy i o pomysłach durnowatych (1951, obdarzenie honorem mistrza Polski drużyny, która nie wygrała ligi, tylko wywalczyła Puchar Polski). O narodzinach. Przypadkowym, bądź niestety również intencjonalnym fałszowaniu historii, tudzież latach nam współczesnych. Esencja tego wszystkiego, co dało się pomieścić na określonej powierzchni zaledwie jednego tomu. Niewątpliwie, dzięki zwięzłości treści i żelaznemu trzymaniu się kanonu takiej, a nie innej formy (jednakowej dla każdego sezonu) – zyskuje przejrzystość wydawnictwa. Bezproblemowo da się wyłowić wynik każdego meczu, znaleźć podstawowe dossier o każdym uczestniku czegoś, w czym kochaliśmy się, albo wciąż kochamy na zabój. Duży plus, nie ma dwóch zdań. Kiedy jednak dysponuje się apetytem na coś więcej, niż tyl-

ko kartkowy przydział na chleb, papierosy, margarynę i muszącą wystarczyć na rok parę skarpetek – pojawia się uczucie niedosytu. Zwięzłość wypowiedzi nigdy nie idzie w parze z „wstawianiem bajeru”. Sprzedawaniem grepsu, grepsów, tysięcy grepsów o tym, czym liga żyła na przestrzeni wielu pokoleń. Stąd marzy mi się, aby rzucenie na rynek „ligi polskiej” było hasłem niewątpliwie nieodzownym, ale jednak tylko hasłem. Do systematycznego rozwijania tematu przez Andrzeja Górzewskiego i jego ekipę. Aby, odkładając na zakurzoną półkę „ligi, która gra i po czterdzieste”, można było kiedyś sezon po sezonie analizować „co, jak, kiedy i dlaczego”. Na bazie ostatniego wydawnictwa – trafiłyby do nas, „ligowców”, bestsellery. Jestem tego pewien, choć z ręką na sercu wyznaję, że w szczegółach nie wiem, jak to zrobić. Ale Andrzej, mam nadzieję, pewnie wie...

Co mnie rzuciło na kolana? Nie ma dyskusji, zdjęcia. Częstokroć zapewne wydobyte spod ziemi, zatem tym bardziej ważne. Dzięki fotografiom – im głębiej wydostanym z lamusa, tym lepiej – książka żyje. Przestaje być wyłącznie słowem pisanym, które do każdego dociera z różną skutecznością. Chyba mam (choć ograniczoną) świadomość, ile benedyktyńskiego wysiłku wymagało sporządzenie najprzeróżniejszych zestawień, tabel, klasyfikacji. Bo to ważne, wręcz niezbędne uzupełnienie naszej wiedzy o przeszłości i teraźniejszości. Uzupełnienie, bagatel, podane w gotowej formie. Jeśli jednak z uporem maniaka wracam do zawartości zdjęciowej – nie dzieje się to przypadkowo. Mogę publicznie wytknąć „FUJI” błąd pod zdję-



ciem krakowskiej Wisły z 1951 roku (powinno być Włodzisław Kościelny, a nie Władysław Kościelny), ale przecież właśnie dzięki tej fotce można sobie uzmysłwić, jak od wielu lat mieszkaniowie Chicago wyglądał kiedyś. Ernesta Pohla znał dawno temu każdy. Co jednak z Bernardem Kobzikim (nie miał szans, aby zagrozić Hubertowi Kostce i Janowi Gomoli w bramce zabrzańskiego Górnika), Joachimem Czokiem (niedawno zmarłym w Niemczech), Norbertem Gwosdkim (kiedyś obowiązkowo pisanym jako „Gwozdek”), względnie Henrykiem Broją? Jakże zapomnieć, że zamiast Karola Marksa sympatyków bytomskiej Polonii zdecydowanie bardziej rajcowała z początkiem lat 60. postać Teodora Marxa. Bo to w końcu Teodor (a nie Karol) grywał na pomocy bezdomnej drużyny, która mimo to potrafiła (dzięki Liberdom, Szymkowiakom, Józwiakom, Grzegorczykom, Pietrzymom czy właśnie Marxom) znaleźć się na ligowym topie. Albo to, jak z generalską czapką na głowie prezentował się między Andrzejem Cehelikiem i Henrykiem Kempnym jako mistrzowskimi „legionistami” czasowo wcielonymi pod szyld „CWKS-u” wojskowy dygnitarz Stanisław Popławski.

Andrzej Górzewski pracował przez lata w katowickim „Sporcie”. Zarówno za czasów Tadeusza Bagiera (jeszcze przed „Gową”), jak i za epoki Andrzeja Koniecznego każdy numer tej gazety był dopieszczony w każdym detalu. Czasy mamy inne, gazety również. Nie wiem komu dziękować, Bogu czy partii. Że nawyk dbania o formę (nie mówiąc o treści) nie wszędzie przeminął z wiatrem.

Jerzy Cierpiatka